

# ODRA

WYDAJEMY W KATOWICACH, WROCŁAWIU  
I SZCZECINIE SZESZCZĄTYTRZECI  
NUMER TYGODNIKA LITERACKO-SPOŁECZ-  
NEGO „ODRA”

Dnia 9 lutego 1947.

Rok wydawnictwa trzeci.



Edmund Osmańczyk

## Niszczenie kłeski

Londyn, w styczniu.

Jesteśmy narodem po kłesce. Od wrześniowej katastrofy naród nasz tonął w kłeskach, których rozmiary zdawało się nie mają granic. Każde zwycięstwo Hitlera, a ileż ich było w ciągu pierwszego aktu europejskiej wojny, waliło w nas nowymi Palmirami, Oświęcimiami, Treblinkami. Każda kłeska Hitlera, a ileż ich było w ciągu drugiego i jakże długiego okresu wojny, miażdżyła nas, żyjących w Kraju zemsta upadających Niemiec nad najzaciętszym swym przeciwnikiem. Daleko od kraju, okólnymi drogami szły zwycięstwa Polskiego Żołnierza. Kraj znał jednak tylko kłeski. Walka podziemna była oporem, lecz nie zwycięstwem. Mogliśmy hamować lawinę nieszczęść, do zwycięstw byliśmy za słabi, co gorsza, z każdym dniem słabsi straszliwym upływem krwi.

Tak więc przez 6 lat naród trwał w bezprzykładnych kłeskach. Stwierdzenie to nabiera szczególnej wymowy, jeśli dodamy, że w tym samym czasie ponosiłszy równoległe do katastrof fizycznych katastrofy polityczne i, gdy doszliśmy do finału zaczętej we wrześniu 1939 roku rozprawy naszej z Niemcami, to prócz osiągnięcia granicy upływu krwi leżało w gruzach miasto niepokońne — Warszawa, granice nasze na wschodzie cofnięte zostały do linii Curzona, granice nasze na zachodzie zawieszono w jałtańskiej ogólnikowej mgłę, w miejsce jednego rządu — 2 rządy, w miejsce jednego dowództwa Sił Zbrojnych — 2 dowództwa, a w konsekwencji tego wszystkiego rozdarcie narodu na dwie nienawistnie pałające do siebie orientacje. Trudno sobie wyobrazić katastrofę bardziej głęboką.

Z całego narodu polskiego, tylko wybrańcy, żołnierze, którym udało się wywędrować na zachód czy na wschód, znali smak zwycięstw, gdy niszczyli wrześniową hańbę na wszystkich frontach świata. Reszta narodu do wrześniowej przegranej musiała dodawać kłeski następne, aby w katastroficznym otepieniu ujrzeć tragiczny finał.

Znam ból tych miesięcy powstańców i gorycz najbardziej gorzką ludzi kłeski. Pamiętam to przerażenie zastygłe w oczach, które stawały się martwo-nieruchome, gdy w mózgu szamotały się desperackie myśli. Nigdy bardziej propagandą marzeń nie była w kraju przeklinana, jak w te dni, kiedy rozpiętość między nadzieją a rzeczywistością wydawała się przepaścią bez dna. — Wtedy to uciekłem z kraju... do wojska. Do żołnierzy, którzy szli od Lenino i zamknęli całą swą prawdę w cztery słowa: „Chcesz żyć — bij Niemca!”. W Berlinie patrzyłem, jak chłopaki z Powstania Warszawskiego w I Praskim Pułku Majora Zwierzeńskiego uderzali na Tiergarten, ostatnią osłonę kancelarii Hitlera i jak na zwaliskach Politechniki Charlottenburskiej wypisywali historią dzwoniące słowa: „Mściciele Warszawy na gruzach Berlina!”. Polski atak na Charlottenburg miał siłę huraganu. Oto ktoś wreszcie namacalnie, z bliska mścił kłeski zwycięstwem, jakiego od Grundwaldu nie znała historia Polski.

Lecz kiedy wróciłem do kraju i opowiadałem o żywocie i śmierci Berlina, odczułem natychmiast, że z kolei i ja znalazłem się w garst-

ce wybrańców, którym dane było odczuć namacalnie z bliska zwycięstwo, by móc otrząsnąć się z koszmaru psychozy kłeski.

Nie chcę być bezlitosny, lecz jeśli mam mówić prawdę tamtych dni, to muszę powiedzieć i to: — zwycięstwa garstki wybrańców, żołnierzy spod Narwiku i Tobruku, Monte Cassino i Falaise, Lenino i Kołobrzegu, Gdańska i Berlina, były szczęściem tylko ich, nielicznych wybrańców spośród milionów. Masa narodu, wyczerpana, wykrwawiona, rozbita chaosem wojennych i politycznych kłesk nie posiadała już zdolności radowania się czymś odległym, w czym udziału bezpośredniego brać nie mogła.

Kazimierz Koźniewski

## Praworzadność

Wybory minęły, a wraz z dopełnieniem się tego aktu, kraj nasz wchodzi — czy to się komu podoba czy nie — w okres węzłowej stabilizacji. Stabilizacja będzie wszechstronna. „Lasy” i nielegalne podziemie musi już skrzętnie rachować dni swego rzeczywistego końca, który nastąpi — abstrahując już od działania czynników zewnętrznych — jako rezultat zdania sobie sprawy z kompletnej bezcelowości tego rodzaju działania w realizacji celów tych grup. Opozycja legalna — od PSL po „niezależnych katolików” — musi, pogodziwszy się ze swoją parlamentarną słabością, rzucić swój głos na szalę konstruktywnego rozwoju państwa. Również i rząd reprezentujący cztery stronnictwa winien możliwie prędko uświadomić sobie, a szczególnie swoim czynnikom wykonawczym, że właśnie został ukończony okres przede wszystkim walki o władzę, a rozpoczął się okres przede wszystkim pełnego odbudowywania i budowania całego państwa. Innego rodzaju metody mogą być stosowane w okresie walki o władzę, walki o możliwość realizacji swoich ideałów — innego rodzaju, gdy w spokojny, nastawiony na długą falę, sposób zabieramy się do życia i pracy w jednej wspólnocie państwowej. Dziedziny naszej administracji, resorty i wydziały naszych władz, gdzie do tej pory kierownik był często najpierw partyjnikiem, a teraz winien się stać najpierw urzędnikiem państwowym — można by wyliczać bardzo długo.

Jest jedna przede wszystkim cecha, zaleta, która wraz ze spodziewaną stabilizacją kraju — musi ogarnąć i przeniknąć nasz naród. To praworzadność. To poszanowanie dla obowiązujących praw ze strony każdego obywatela państwa. To poszanowanie dla praw i intencji ozywających władze państwowe ze strony każdego — najmniejszego nawet — urzędnika, władze te reprezentującego i wyrażającego.

Praworzadność ma bowiem dwa aspekty.

Jeden — wyrażający się stosunkiem każdego obywatela do władz państwowych i praw w państwie obowiązujących. Nowoczesna społeczność państwowa wymaga, by obywatele byli wobec praw tych lojalni. Prawom

To było dno udręki, koszmar niewiary w sens ofiar, koszmar niepewności i beznadziei.

### GENEZA PRZEMIANY

W czerwcu 1945 powstał Rząd Jedności Narodowej. W lipcu 1945 w Poczdamie ustalono granicę Odry i Nysy. Powstały nowe fakty. Życie rozpoczynało się od nowa, lecz wciąż z balastem niewiary, zwątpienia, rozterki myśli i uczuć. Tak weszliśmy w nowy okres historii, jakiego dotąd nigdy nie mieliśmy.

Już wiosną 1945 roku w ślad za posuwającym się na zachód frontem szli ludzie polscy na ziemie śląskie i szczecińskie z determinacją pionierską. Po Poczdamie

ruszyli coraz szersze fale, aby po półtora roku stworzyć 5.000.000 pionierską społeczność.

To co dla świata i dla Polaków przebywających na emigracji było tylko teoretycznym rozważaniem, czy jest sens takiej granicy Polski z Niemcami, i czy wszystkie Wielkie Mocarstwa granicę tę uznają, to dla Polaków w Kraju stało się *conditio sine qua non* życia. Zdobyć, utrzymać, zagospodarować te ziemie oznaczało i oznacza dla Polaków w Kraju coś więcej niż rozrachunek ostateczny z Niemcami. To oznaczało i oznacza powrót do życia, pierwsze niszczenie kłesk, które zdawało się niosą temu życiu ostateczną zagładę.

Śmiem twierdzić, że bez Ziemi Zachodnich naród polski by zginął, zatracając się w beznadziei kłeski. Potworności naszych strat wyrównać nie bylibyśmy w stanie, bo tam, gdzie kurczy się obszar narodu tam karłowacieje i naród.

Jeśli naród chce żyć pełnią swych sił, a tylko taki naród w nowoczesnym świecie może być niepodległym, to każdy człowiek tego narodu musi mieć możliwość wyróżnienia na swoją miarę. Wiemy, że ta miara w Polsce była taką, jak nasze dzieje: niezwykle wysoka i haniebnie niska. Nigdy dotąd nie dane nam było natomiast zdobyć dla narodu najbardziej potrzebnej miary: wysokiej — średniej. Działo się to dlatego, że nigdy masy polskie nie brały udziału społecznego w życiu narodu. Istniała masa bierna i społeczność kierująca, społeczność indywiduów. Ta indywidualność naszej społeczności kierującej pozwoliła Niemcom na zadawanie nam kłesk najdotkliwszych. Traciliśmy w latach wojny aktyw narodu w postępie geometrycznym. Jednocześnie jednak następowało uaktywnianie się mas. Na przekór kłeskom wyrastały nowe fale energii, które bez Ziemi Zachodnich rozbiłyby się, a psychoza kłeski przywróciłaby masom dawne otepienie.

Revolucja socjalna dokonana przez obóz lewicy polskiej była tylko zalegalizowaniem przemian, które dokonały się w latach kłeski, gdy masy ratowały energię narodu. Lecz utrwaleniem tego olbrzymiego procesu przemian było odzyskanie ziem nadodrzańskich i nadnyskich.

Na ziemie te poszli w pierwszym rzędzie wszyscy ci, których energia wyzwalająca się w czasie wojny szukała ujścia na swoją miarę. To są ci, którzy w rozmowie wtrącają daty dni i miesięcy roku 1945, daty ich przybycia na Ziemię Zachodnie i daty ich pierwszych tam zwycięstw. Za nimi, a raczej do nich przybyły fale następne przesiedleńców i osadników. Kraj, który obejmowali we władanie nie był Eldoradem. Zniszczenia były równe polskim zniszczeniom. Chaos pierwszych administracyjnych improvisacji nie ułatwiał życia, szabrownicza kanalia, pozostałości moralnych kłesk, których też nie mało w tej wojnie ponieśliśmy, zohydzała wysiłki pionierów; wroga propaganda tymczasowości granicy Odry i Nysy przerażała bardziej lekliwie, kłeskami zahypnotyzowane serca; niepojęta dla Polaków światowa gra o sympatie Niemców budziła fale paniki, podcinające energie; głupota i podłość; demagogia i chamstwo; wreszcie szaleństwo zbrodnicze orientacyjnych „lasów” — oto wszystko co należało pokonać, aby móc zniszczyć kłeski i zwyciężać.

### DWIE PRAWDY

A jednak choć po każdym wpływie następował odpływ, to ilość ludzi pozostających wrażliwa i wrażliwa w nową ziemię, a liczba odchodzących, ofiar kłesk, niezdołnych do wykrzesania z siebie wiary, malała z każdym miesiącem, i dziś już stwierdzić możemy dwie dziejowej znaczenia prawdy:

Pierwsza brzmi: — dzięki ziemiom nadodrzańskim i nadnyskim

jak urzędnik choćby najniższy, jak każdy wreszcie obywatel działać musi nie instynktownie, lecz świadomie, z nawet pewnym wysiłkiem i samozaparcem się siebie w kierunku kształtowania społecznej zalety i konieczności: praworzadności.

Jest jednak i drugi aspekt. Obywatel nie będzie mógł i nie będzie tak długo należycie praworzadnym — jak długo urzędnik państwowy każdej hierarchii nie będzie również praworzadnym, jak długo obaj nie będą posługiwali się jednym językiem państwowym, to jest jednakowo przestrzegali litery i ducha praw obowiązujących. Z tą chwilą, gdy obywatel widzi, iż przedstawiciel władzy państwowej na jego terenie w jakikolwiek sposób omija prawo, postępowaniem swym wypacza jego intencje, lub postępuje niezgodnie z enuncjacjami kierowników państwa lub resortów państwowych — z tą chwilą obywatel albo nie będzie mógł stosować się do praw obowiązujących, gdyż urzędnik ich nie przestrzega, albo nie będzie chciał stosować się — uważając się przez postępowanie urzędnika zwolnionym od obowiązku ich przestrzegania.

Nasza państwowość jest jeszcze bardzo młoda. Byłaby młoda nawet wtedy, gdyby między rokiem 1918 a dniem dzisiejszym nie leżało pięć i pół lat przerwy, pięć i pół lat nauki gwałcenia i obchodzenia tak przez urzędnika jak obywatela wszelkich obowiązujących przepisów. Każda młoda państwowość ma to do siebie, że jej korpus urzędniczy jest fachowo niewyrobiony, że przedkłada swe osobiste interesy personalne czy ideowe ponad rygor obowiązujących go praw, ponad przepisy — a więc z reguły i dobro — państwa. Z drugiej strony i obywatele są jeszcze zbyt mało wychowani w poczuciu państwowego obowiązku. To co w takiej Anglii działa się automatycznie, jest wręcz atawistyczne, u nas — w narodzie, który przez dziesiątki lat niewoli nie miał powodu postępować ani państwowotwórczo ani praworzadnie, który potem jeszcze po 20 latach własnej państwowości jeszcze raz zetknął swe nowodorastające pokolenie z koniecznością obchodzenia praw, — w tak nieszcześnie narodzie, zarówno minister, jak dyrektor,

Zagadnienie to jest dla nas wagi narodowej i państwowej. Szczególnego jednak nabiera ono znaczenia na Ziemiach Odzyskanych — to znaczy tam gdzie państwo polskie, gdzie naród polski, po raz pierwszy od setek lat światu zakłada się swą państwową władzę. Tam, gdzie wskutek okoliczności wojennych warunki życia społecznego budujemy od najbardziej dolnych fundamentów. Tam, gdzie prawie cały element ludnościowy jest napływowy. Tam, wreszcie, gdzie element zastany, autochtoniczny, wskutek wielowiekowego stykania się z doskonałą pod tym względem maszyną administracyjną niemiecką, ma wyrobione mimowolne poczucie praworzadności. A właśnie na tych ziemiach częściej niż w innych okolicach kraju danem nam jest notować niezbyt budujące przykłady przekraczania przez urzędników ich kompetencji, obchodzenia praw, wypaczeniem intencji ogłaszanych przez ich ministrów — jednym słowem z tymi wszystkimi przerostami władzy administracyjnej, komunikacyjnej itp., która jest wynikiem nadmiernych osobistych ambicji urzędnika w połączeniu z nikłą jego fachowością i słabym wyrobieniem zawodowym, słabą znajomością — nawet niekiedy — jego etyki zawodowej. Sądy państwowe tępią te nadużycia bez przerwy karząc tych wszystkich, którzy swe stanowiska urzędowe wykorzystują dla popełniania przestępstw lub też wyciągania korzyści osobistych. Nie mniej ani sądy państwowe nie są w stanie rozpatrzyć wszystkich wypadków, ani też nie każdy rodzaj niepraworzadności urzędnika może od razu być podciągnięty pod stosowne litery Kodeksu Karnego. Trzeba tu czegoś subtelniejszego i bardziej wnikliwego niż urzędowy aparat sprawiedliwości i porządku. Działać tu musi atmosfera społeczna — nad wytworzeniem której winni pracować wszystkie ośrodki ideowe i wychowawcze w całym kraju — gdyż

(Dokończenie na str. 4)

Dm/54/052

naród polski wydobyl się z psychozy kłeski i rozpoczął przezwytyczenie katastrofalnej swej słabości, mając świadomość, że tylko siła pracy narodu daje zwycięstwo.

Prawda druga jest bardziej jeszcze decydująca o naszej przyszłości. Brzmi ona: — zniszczenie mitu kłeski wyzwoleniem się po przez Ziemie Zachodnie nowych energii masy narodu polskiego, odmieniło psychikę narodu tak potężnie, że kształtuje się obecnie nowa zupełna społeczność polska.

Polacy przebywający na emigracji z konieczności orientują się w sprawach polskich według faktów, zmyślonych i prawdziwych, które przynosi prasa i radio. Rozgrywki światowe i wewnętrzno-polskie, przesłaniają obraz wewnętrznych przemian narodu, które nie decydują w pełni jeszcze dziś, ale decydować będą jutro. Uświadomienie sobie najistotniejszego faktu, że Polacy w Kraju bez względu na obozy polityczne przechodzą wszyscy do głęboką przemianę psychiczną, wydadają mi się szczególnie ważne dla Polaków na emigracji. Kraj, bity kłeskami, obronił się dzięki Ziemiom Zachodnim przed stanem bierności katastrofalnej, która mu groziła. Polacy w kraju coraz silniej wyzwalały swoją energię w pracy, której owoce każdy dzień już przynosi. Natomiast Polacy na emigracji, którzy żyli zwycięstwami bliskimi bohaterskich żołnierzy, powracają do przeszłości, kiedy naród nasz dzielił się na kierującą społeczność indywidualów i masę bierną. Nawet te masy, które w czasie wojny walczyły, zostają na emigracji zepchnięte do nowej wegetacji dla psychicznie wyjąławiającego odczekiwania historii. Na emigracji energię swą wyładują jedynie jednostki, którym los dał możność znalezienia się w społeczności kierującej bierną masą.

Te dwa typy przemian krajowych i emigracyjnych zarysowują się coraz wyraźniej: pasywność masy emigracyjnej, aktywność masy krajowej. Jest to nieunikniona konsekwencja oderwania miliona Polaków od kraju i od udziału w największym zadaniu, jakie w historii dotąd Polakom przypadło, odbudowania Polski na jej zachodniej, naturalnej granicy.

#### PROCES TRWA

Proces przemian psychicznych, który trwa i który zakończy dopiero pokolenie, które po nas przyjdzie, jest silniejszy od wszystkich przemian politycznych, posiada bowiem swe źródło w instynkcie życiowym narodu.

Skoro dotychczasowy polski typ psychiczny wygrywał bitwy a przegrywał wojny, zdobywał się na wysiłki nadludzkie, aby przed zwycięstwem padać z wyczerpania, to znaczy, iż były w nim słabości, które warunkowały taki a nie inny bieg naszej historii.

W roku 1945 słabość nasza osiągnęła swój katastrofalny niż, gdy — chyba w tym nie ma przesady — 70% narodu polskiego musiało rozpocząć budowanie swojej rodzinnej, społecznej, kulturalnej, politycznej a przede wszystkim materialnej egzystencji od początku. To samo po raz trzeci dotyczyło państwowości polskiej.

Dla co najmniej 70% narodu, wyczerpanego nad siły, nastąpiła konieczność rozpoczynania od nowa życia. Pasja, która tkwi w każdym Polaku, przemieniła się teraz w zacięty upór. Miliony Polaków „mądrych po szkodzię“ przestało błąkać myślami w niebiosach i szepać „jakoś to będzie“, a zaczęło chodzić twardo po ziemi. Przemieszały się wszystkie typy psychiczne ziem polskich. Dla milionów ludzi odmienił się krajobraz, warunki pracy, standard życia. Garstka robotników i inżynierów, która przysłała do na wpół zburzonej fabryki, wiedziała, że taką będzie ich siła, jaką siłę patrafią wydobyć z fabrycznych ruin. I oto ludzie poczeli wyrastać na swoją miarę i rosną z każdym dniem pracy, doświadczeń, nauki. Słabsi zatrzymują się na swoim szczeblu, silniejsi idą dalej. Proces trwa. To nie tylko odbudowuje się kraj, lecz co ważniejsze, odbudowuje się siła człowieka w Polsce.

#### PRZESTALIŚMY BYĆ FANTASTAMI

Chłodno, bez sentymentów kalkulujemy realia ziemi i rąk i mózgów ludzkich w tej Polsce, jaka jest. Przestaliśmy wierzyć w wartość bohaterstwa nie popartego siłą pracy, która potrafi dyskutować z grubym procentem każdy bohaterski czyn. Stajemy się trzeźwymi kalkulatorami, mierzącymi zamiary według naszych sił.

Półtora roku temu wydawało się, iż Ziemie Odzyskane będą niepewną przyczepką do Poznania, Warszawy, Krakowa. Dziś staje się jasne, że o Polsce decydować będzie w przyszłości nowy typ Polaka, wyrosły w Szczecinie, Kołobrzegu, Wrocławiu. Tam wparliśmy się w zachód i północ. Tam są Polacy wszystkich ziem i wszystkich przeżyć.

Ludzie przyjeżdżający stamtąd do Poznania, Krakowa czy Warszawy przynoszą już dziś z sobą potencjał energii, który poczyna promieniować na cały kraj. Ludzie Wybrzeża, Szczecina, Kołobrzegu, Gdańska, mają już dziś odmieniony wzrok i wyraz twarzy. To skupienie i upór człowieka, który styka się z morskim żywiołem.

To wszystko dotyczy przede wszystkim starszego pokolenia. O młodym pokoleniu mówić mi trudno, bo przemiany tam są jeszcze głębsze i jeszcze trudniejsze do ujęcia w formuły dzisiejszego naszego słownictwa. Nie jest to

bowiem fantazja, lecz młodzież, z którą miałem radość zetknięcia się na Ziemach Zachodnich, mówi już jakimś odmiennym językiem, w którym powaga i radykalny realizm miesza się z wybuchową wiarą młodości, językiem, którym prawdopodobnie za lat 20 mówić będzie cała Polska.

Zdaję sobie sprawę, że tylko ogólnikowo określić mogłem tę przemianę psychiczną, która się dokonuje w kraju poprzez powrót ziem nadodrzańskich do Polski. Zdaję sobie też sprawę, że podkreśliłem przede wszystkim pozytywne tej nowej podstawy. Uczyniłem to jednak świadomie, bowiem te pozytywne świadczą o kierunku przyszłości, negatywy natomiast są odbiciem przeszłości. Chodziło mi jednak o to, aby zasygnalizować przemianę, która jest dowodem niezwyklej żywotności narodu, wiedzącego dziś, że kłeski, które nań spadły w ostatnich latach dwustu, zniszczyć może tylko powszechnym wysiłkiem wszystkich Polaków, a zarazem wiedzącego, że granica Odry i Nysy nie jest tylko znieszczeniem niebezpieczeństwa pruskiego, lecz warunkiem życia narodu polskiego.

Ziemie nadodrzańskie stały się w ciągu dwóch lat kolebką odrodzenia sił narodu polskiego. W stolicach świata, gdzie teoretyzują geopolitycy nad słusnością lub niesłusnością polsko-niemieckiej linii granicznej, zapomina się zbyt łatwo o psychologicznym momencie tej sprawy, decydującym jednak o pokójku Europy. Oto ziemie nasze zachodnie były już raz kolebką siły... lecz niemieckiej. Dziś walka Schumachera, Kaisera et consortes o przekreślenie granicy Odra — Nysa, jest walką o danie ponownej możliwości Niemcom odrodzenia ich siły. Powstaje więc alternatywa, albo na tych ziemiach odrodzi się siła pruskiej nacji narodu niemieckiego, a wtedy zginie naród polski, który następnej serii kłesk już nie wytrzyma, albo na ziemiach tych odradzić się będzie siła narodu polskiego, a wtedy naród niemiecki wyzwolony od groźby ponownego spruszczenia odrodzić będzie mógł wreszcie swe wartości ludzkie i powrócić do rodziny europejskich narodów, kochających nie wojny, lecz pokój.

Historia Polski niezbyt łaskawa w ostatnich latach dwustu, nie dała naszemu pokoleniu wyboru dróg odrodzenia naszej siły. Kto ma tylko jedną szansę życia — ten walczyć będzie o nią z determinacją. I ta determinacja jest w Polakach w kraju.

Nie będziemy narodem kłeski wśród zwycięzców. Kto nie wierzy niechaj się przyjrzy z uwagą już dziś Polakom w Szczecinie, Wrocławiu, Opolu, Zgorzelcu.

Edmund Osmańczyk.

Odczyt wygłoszony w Mansion House, przy Portland Place w Londynie dnia 17. I. 1947.)

## Perspektywa Odry



PODADECKI: Zamek Piastów w Szczecinie w obecnym stanie.

W dzienniku Hansa Francka, powieszonym w Norymberdze, pod datą 17. 3. 1942, znajduje się następująca notatka: „Byłoby śmieszne, gdybyśmy chcieli tutaj (t. j. w G. G.) zbudować własną politykę bezpieczeństwa w stosunku do naszych Polaków, wiedząc, że Polacy w Prusach Zachodnich, w Poznaniu, w kraju nadwarteckim i na Śląsku posiadają wspólny ruch oporu. Reichsführer SS i szef niemieckiej policji musi mieć zatem możliwość interwencji policyjnej w całej Rzeszy za pośrednictwem swoich instancji.“

Wspólny ruch oporu... Ileż daje do myślenia ta notatka pedantycznego gubernatora. Wspólny ruch oporu Warszawy szaleńczej i Śląska roztropnego, ale także srogo okupowanego. Franck potwierdza znana już wielu konspiratorom okresu okupacji prawdę, — wszak między Śląskiem, Poznaniem a Warszawą kursowali kurierzy. Nie chcieli tej prawdy znać tylko niektórzy rozmaici prokuratorzy, którzy zaraz na początku 1945 roku przyszli sędzić Ślązaków i Pomorzanie.

Stwierdzenie wspólnego ruchu oporu na całym obszarze Rzeczypospolitej bez względu na to, jakie losy przechodziły poszczególne jej dzielnice, zobowiązuje nas współczesnych do czegoś więcej jak tylko do radosnego zdziwienia i pochwały. Co prawda ułożyły się już jakoś stosunki między napływowymi Polakami a miejscowymi, co prawda w pierwszych burzach duży procent miejscowych został pokonany, wymieciony ze Śląska, chciałoby się nawet powiedzieć brutalnie ausgerottet, bo przecież było między nimi wielu dobrych, szlachetnych Polaków. Konsekwencje jednak zarzutów ze względu na naszą spokojną, pozbawioną fantazji osiadłość, która także drogami volksdeutscherstwa kluczyła ku wspólnej, szerokiej polskości.

Nie chcemy narzekać. Wiemy, że wina leży w naszym charakterze, który lubuje się w konstruktywnej, spokojnej, statycznej pracy. W którym nie ma miejsca na niepokoje i zmienną fantazję i wieczną ruchliwość. Tym wszystkim biją nas bracia, którzy tu przyszli, by współżyć z nami na wspólnej polskiej ziemi. Nie zazdrościmy im tego, nie czynimy im z tego zarzutu. Spodziewamy się, że i oni nie będą nam czynili już więcej zarzutów ze względu na naszą spokojną, pozbawioną fantazji osiadłość, która także drogami volksdeutscherstwa kluczyła ku wspólnej, szerokiej polskości.

To tylko lekki wyrzut, zrodzony ze wspólnych zmagania we wspólnym ruchu oporu. Wyrzut, dalby, ostatni.

wisz.

Elżbieta Miłanczówna

## Ostrów Tumski

Barokowe anioły nadobne  
odeszły w polichromii

Wyżej ruin,  
gotyk do dzwonnicy  
wyębł się najstromej  
w cisze, gdzie święci złożywszy ręce  
brną przez wykusze  
po pas wmurowani w mroz  
jak w tęczę

Z ostrotuku  
Magdalena wdzięczy się wygięta  
w stronę  
gdzie miasto krokami przechodniów  
za mosty uciekło  
i drży rząd wyświeconych drabin  
— w zimie Wrocław  
podobny wszystkim miastom,  
— Tylko tu staje się bogatszy  
gdzie katedra  
swoi zgubiony dach nad stopem dobiega  
I noc po wyrwach wylega  
gwiazdy jak gołębie,  
tylko tu staje się bogatszy  
o przerwany czas.

## Szansa politycznej mądrości

... Zeby i w przyszłości istniały szanse wygranej w walkach między Polską i Niemcami, znane nam być muszą doskonale odniesione dotychczas porażki i kłeski, błędy, minusy i niedobory w warunkach na śmierć i życie, warunki zmagania w przeszłości. Trzeba w imię dobrze zrozumianego interesu narodowego przyjąć do wiadomości bezlitosne, najbardziej przykre fakty, bez ubarwiania obrazów przebiegu walk, naginania ich do przejściowych epilogów: jak w tych walkach było naprawdę. Po co utrzymywać, że prawda wyglądała inaczej? Po co zadawać kłam faktom, malować siebie różowo i łagodzić sztucznie konflikty?

Prawda o prześladowaniach niemieckich zawarta jest w ładajakim podręczniku historii polskiej. Ale prawda o wzajemnych zmaganiach — pouczająca, prawdziwie krzepiąca i zbrojąca do dalszej walki wypływa dopiero ze zgłębienia psychiki zarówno niemieckiej jak i polskiej, z trafnej znajomości własnych sił, ze studiowania polskiej myśli politycznej, przyświecającej walkom.

Walka z Niemcami zostanie wszędzie przegrana, gdy im przyświecać przestanie przewodnia polska myśl polityczna.

Jak straszne musiały być jady niemieckie zatrzymujące organizm polski, skoro zakorzeniały się groźnie i niespodziewanie tam, gdzie absolutnie nie winny być dopuszczalne czy możliwe. Jak tania święcili Niemcy prawdziwe triumfy nad polskością!

Niechaj wystarczy przykład wstrząsający:

W r. 1920, w okresie plebiscytu na Warmii i Mazurach, krainach opuszczonych przez Boga, działacze polscy nie mogli doprosić się poparcia dla swej ważnej misji w sferach rządowych w Warszawie. Jedną z zasłużonych działaczek, gorącą patriotką, pojechała do stolicy interweniować na ówczesnym Olimpijskim polskim.

„Idę do Belwederu. Przyjmuje mnie adiutant major D. Przyjmuje mnie bardzo uprzejmie. Mówi że Warmii wprowadzić nie zna, ale przypuszcza, że na Warmii to podobnie jak na Śląsku. A na Śląsku sprawa przedstawia się tak,

że ludność tamtejsza wcale nie chce do Polski należeć (adiutant daje mi na to dowody). A jeżeli ludność nie chce do Polski należeć, to po co ją do tego zmuszać?... W pół roku później byłam na Śląsku. Widząc ogromny, świadomy, entuzjastyczny patriotyzm śląskiego ludu — poznałam, jak bardzo major D. się mylił.“ (Anna Łubieńska „Moje wspomnienia z plebiscytu na Warmii“, 1932).

Agent niemiecki nie zdobyłby się na równie ignorancją jednostronność w stosunku do problemu polsko-niemieckiego ani na tak karygodną nieczulość względem najwartościowszych przedstawicieli naszej narodowości, na tak zastraszającą indolencję, jak obywatel polski z najbliższego otoczenia naczelnika państwa! I to kiedy? Podczas jednej z najważniejszych walk w dziejach Polski i Niemiec.

Antoni Trepieński.

(Fragment wstępu do antologii głosów polskich o Niemcach, która ukaże się nakładem Księgarni Ludowej w Łodzi).

Niech żyje konstytucja niemiecka — Cóż to za demokracja — Grattez l'Autrichien et vous trouverez le Boche



Uśmiechnięte Niemcy. Pastor Niemoeller udaje się ze swą małżonką w podróż do Ameryki.



Uśmiechnięte Niemcy. Nowy nadburmistrz Berlina, dr. Ostrowski w pierwszym dniu urzędowania.



Uśmiechnięte Niemcy. Heinz Ruehmann, heros wielu filmów hitlerowskich, znowu gra.

**T**WORZY się Demokratyczna Republika Niemiec! Oto wołanie, jakie od trzech miesięcy raz po raz rozlega się w Niemczech. „Nie wszystko będzie zależało od konferencji moskiewskiej” — piszą gazety berlińskie — „wszystko natomiast zależy od nas, a przede wszystkim od prawdziwie demokratycznej konstytucji niemieckiej”. W sprawie takiej właśnie konstytucji toczy się nieustająca dyskusja na łamach prasy, w klubach dyskusyjnych, w partiach.

Projekt konstytucji wypracowała SED, a na łamach jej organu „Neues Deutschland” dyskusja zatoczyła najszersze kręgi. Podkreśla się w niej w pierwszym rzędzie niepodzielność Niemiec, jedność absolutną jako podstawę do szczerze demokratycznego rozwoju. W wypowiedzi niejakiego dra Naasa na temat „Projekt konstytucji a inteligencja niemiecka” sprawa jedności przedstawiona jest jako naczelne żądanie inteligencji. Dr Naas powołuje się przy tym na tradycję, którymi w tej sprawie inteligencja niemiecka może się poszczycić. Za przykład godny czasów dzisiejszych stawia się m. in. działalność poety Arndta sprzed stu lat. Rzeczywiście Arndt był w swych poglądach społecznych demokratą, ale równocześnie zagorzałym nacjonalistą, szczególnie na odcinku reńskim. („Ren rzeką niemiecką a nie rzeką graniczną Niemiec” — oto tytuł jednej z jego książek.)

W innych wypowiedziach przebiega ten sam ton, to samo poszukiwanie tradycji, przeważnie błędnych i mocno naciąganych. Gazeta „Thüringische Landeszeitung” pochwała na ogół całą propozycję publicznego przedyskutowania projektu konstytucji, w d'lugim jednak i mętłym wywodzie przeciwstawia się wprowadzeniu nazwy Republika. Dziennik, który jest organem tamtejszej partii liberalno-demokratycznej, uważa bowiem, że nazwa Reich ma zbyt długą tradycję, by z niej zrezygnować, a zresztą „nie została ona skompromitowana nawet w epoce imperializmu narodowo-socjalistycznego.”

Równocześnie w strefie sowieckiej odbywają się w wielu miejscowościach wiece, na których w formie rezolucji domagają się Niemcy natychmiastowego przyjęcia (przez kogo?) konstytucji proponowanej przez SED, utworzenia republiki i ukarania... wszystkich separatystów.

**W** „DEUTSCHE RUND-SCHAU” toczy się dyskusja podobna, ale na nieco wyższym poziomie umysłowym. Wypowiedzi byłego posła Nadolnego oraz Gerharta Albrechta zgodnie uznają konieczność uchwalenia konstytucji. Albrecht dąży do separatyście nazywa groteskowym anachronizmem XX wieku. Na innym miejscu w tym piśmie czytamy,

jak to dobrze było w okresie republiki weimarskiej, póki żyli ludzie, nie zburzyli spokoju. W ogóle w dyskusji nad przyszłą konstytucją Niemiec obok wielu wypowiedzi trafnych, choć nie wiadomo czy szczerych, dużo napotkać można głosów żywcem wyjętych z dialektycznego słownika Goebelsa, nie drapujących się nawet już w toż demokrację.

**M**OWIĄ w Niemczech, że bieżący rok przyniesie wiele szczęścia. Wolne państwo niemieckie powstanie na pewno, odejdą okupanci, Schumacher będzie premierem, a jakiś ministerstwo da się może także Wilhelmowi Pieckowi — tymi nastrojami żyje ulica niemiecka i prasa. Żyje nimi także poezja. Niejaki Paul Poerschke, poeta w stylu hitlerowskiego Anackera, napisał dwa wiersze do Nowego Roku, w których czytamy:

Przynieś nam w drodze, którą idziemy,  
w biedzie i nędzy, w głodzie,  
cierpieniu,  
światło przyszłości, co już nadzieją  
błyska, by kłękę w chwałę odmienić.

**D**EMOKRACJA niemiecka pełna samochwały, która już teraz uważa się za dojrzałą do sprawowania rządów w nowym państwie niemieckim, nie bardzo jakoś odpowiada młodzieży. Dlaczego to? Odpowiedź na to znajdziemy w ciekawej rubryce „Forum der Jugend” kilkudziesięciostrońnicowego miesięcznika „Deutsche Rundschau”. Przemawiali tu już młodzieńcy wysoce oficerowie sztabów, a jakiś 23-letni kapitan powiedział po prostu tak: „Dziwicie się, że młodzież niemiecka nieufnie podchodzi do waszej demokracji. Możemy wam tylko odpowiedzieć, że Bogu dzięki nie posiadamy takich giętkich pleców, by wieczorem położyć się do łóżka narodowymi socjalistami a obudzić się rano stuprocentowymi demokratami. Cóż to ostatecznie jest za demokracja, jeśli z jednej strony woła się publicznie o policję polityczną, z drugiej operuje się hasłami, które aż na zbyt dobrze są znane z czasów niedawno minionych. Cóż to za demokracja, w której prowadzi się nagonkę przeciw uniwersytetom i przeciwko nam oficerom, tak jak za dawnych hitlerowskich czasów...” Autentyczny ten cytat potwierdza w pierwszej części słuszną krytykę współczesnej niemieckiej demokracji, w drugiej zaś błędne szlaki, po których uparcie wciąż jeszcze kroczy młodzież niemiecka.

**K**Rytykę wzajemną wolno Niemcom stosować, trudniej im krytykować inne narody, zbyt wiele mają grzechów własnych. Jest jednak jeden naród, na który od niedawna chętnie składają swoje zbrodnie. Tym narodem są Austriacy. W cytowa-

nym wyżej piśmie ukazała się prawdziwa napaść na Austrię pod lirycznym tytułem „O, du mein Österreich!” Czegóż tu nie czytamy. Ze „najohydniejszy antysemityzm, dziki pangermanizm występował w Austrii jaskrawiej niż w Niemczech”, że „Austriacy należeli do najwścieklejszych nazistów”. Ze „Austriacy i Bawarczycy stanowili trzon najsurowszych oddziałów SS i Gestapa. I to trzon tak potężny i widoczny, że właśnie Bawarczycy i Austriacy w Berlinie i Niemczech północnych spotykają się dziś z niezwykłą nienawiścią.”

Co było powodem takiego ataku? Po prostu zgłoszenie przez Austrię pretensji do odszkodowań niemieckich i ustępstw terytorialnych. „Niech — ciągnie dalej pismo — Austriacy zamilczą, w przeciwnym razie my wystąpimy z rachunkiem o wiele obfitym z szkody, które wyrządzili nam właśnie Austriacy: Hitler, Kaltenbrunner, Seiss-Inquart. Nie chcielibyśmy także myśleć — choć nie byłibyśmy dalecy od prawdy — że pretensje terytorialne do obszaru, na którym leży Obersalzberg, wynikają z pietyzmu „dla największego syna Austrii — Hitlera.”

W ataku tym przebiega typowa u Prusaków niechęć do separatystycznej ich zdaniem Austrii oraz Bawarii. Byłby to może typowy spór domowy dwóch plemion niemieckich, gdyby za atakiem na Austrię nie kryły się nieczyste tendencje polityczne.

**O**BOK tych Niemiec z pianą na ustach istnieją jeszcze także uśmiechnięte Niemcy. Uśmiech wywołują najczęściej dobre interesy polityczne. Uśmiech wywołuje także niedawna przeszłość, o ile ktoś jest na tyle odważny, by publicznie w gronie Niemców szydzić z minionego czasu, uważanego bądź co bądź za wspaniały i dobry. Odwagę tę ma „Ulenspiegel”, wspaniały berliński dwutygodnik, zaopatrzony w staranne kolorowe ilustracje, poświecony literaturze, sztuce i satyrze. W ogłoszonym przez niego konkursie na temat: jakie sześć przedmiotów zabrałby pan, wybierając się na samotną wyprawę? — pierwszą nagrodę uzyskała następująca odpowiedź:

1. Obraz Hitlera — dla rozniesienia ognia. 2. Bust Goeringa — abym go miał zawsze przed oczyma. 3. Szczotkę dla oczyszczenia butów z pyłu minionych 12 lat. 4. Mundur NSDAP. jako strach na wróble. 5. Broń dla przepędzenia brunatnych ptaków i papug (aluzja do mundurów SA). 6. Jeden z dzienników berlińskich z wyrokiem norymberskim — abym się nie nudził, rozwiązując do końca życia wielką zagadkę, kryjącą się w uwolnieniu trzech zbrodniarzy norymberskich.

Dowcipu jakoś brakuje ale dobre chęci są. Brawo „Ulenspiegel!”

wisz.

Działalność Biura Ziem Odzyskanych Ministerstwa Oświaty w roku 1945/46

\*

PRACOWNICY OŚWIATOWI UCZĄ SIĘ ZIEM ODZYSKANYCH

Dla zaznajomienia pracowników oświatowych z problematyką Z. O. oraz pogłębienia wśród nich znajomości ziem i ludzi Biuro podjęło inicjatywę organizowania dla nich terenowych kursów naukowo-informacyjnych przy wybitnej współpracy odnośnych Instytutów i Kuratoriów okręgów Szkolnych.

Kursy te gromadziły uczestników spośród wizytatorów, inspektorów szkolnych, dyrektorów, kierowników i nauczycieli. W niektórych kursach brali udział również pracownicy administracji publicznej. Program kursu trwającego z reguły przez 6 dni obejmował przeciętnie 40 godzin wykładów i referatów poświęconych zagadnieniom prehistorycznym, historycznym, geograficznym, politycznym i kulturalnym odzyskanych ziem. Obok zagadnień ujętych w szerszych ramach w odniesieniu do Ziem Odzyskanych jako całości rozważane były w programie każdego z kursów tematy o charakterze regionalnym, co dawało nie tylko głębsze naświetlenie specjalnych problemów, ale i pewne wskazania praktyczne terenowe. Na każdym z kursów były też omawiane szczególne zadania i rola szkoły i postawa pracownika oświatowego na Ziemiach Odzyskanych w chwili obecnej. Z wykładami łączyły się seminaria i dyskusja na wybrane tematy.

W ciągu ubiegłego roku szkolnego odbyło się takich kursów 7, a mianowicie: w listopadzie r. 1945 w Osiecznej dla Śląska, Pomorza i Ziemi Lubuskiej, w grudniu w Bytomiu dla Śląska Opolskiego i Górnego, w roku 1946 w lutym w Olsztynie dla Mazur, Warmii i Gdańska, w marcu w Szczecinie dla Pomorza Zachodniego, w maju i sierpniu we Wrocławiu i Szklarskiej Porębie dla Śląska Dolnego przy współpracy „Książnicy Atlasu”, w czerwcu w Sopocie dla obszaru gdańskiego. W Kursach uczestniczyło przeciętnie po 45—50 osób. Czynny udział profesorów szkół wyższych (uniwersytet poznański, Jagielloński, wrocławski, toruński) i pracowników naukowych, głębokich znawców przedmiotu, jako wykładawców, zapewnił Kursom wysoki poziom, wzbudził wśród uczestników żywe zainteresowanie oraz zapewnił istotne korzyści z tego rodzaju wykładów, co podkreślano z naciskiem w głosach uczestników przy zamknięciu każdego z kursów.

Biuro Z. O. wysunęło postulat, aby wykłady opracowane przez wykładawców przesyłane były do Ministerstwa celem oddania ich do druku w Państwowych Zakładach Wydawnictw Szkolnych w ramach Biblioteki Z. O. Wydrukowane służyć będą i uczestnikom danego kursu i ogółowi pracowników oświatowych pracujących na Z. O.

Aby nauczycielstwu na Z. O. umożliwić zapoznanie się z ziemiami zachodnimi, z ich historią, kulturą itd. Biuro Z. O. nie tylko spowo. dowoła zakup z funduszy Ministerstwa Oświaty pewnej ilości ukazujących się wydawnictw na temat Z. O. celem rozesłania ich do bibliotek szkolnych, ale także wpłynęło na rozesłanie odpowiednich komunikatów o wydawnictwach do Kuratoriów, które w dziennikach urzędowych ogłaszają je do użytku nauczycielstwa.

Ponadto na razie na terenie Śląska Opolskiego umożliwiło Biuro zorganizowanie podogniska historii, którego zadaniem między innymi ma być rzeczowe informowanie nauczycieli historyków o ukazujących się różnych pracach dotyczących Z. O. oraz ich szczegółowe omawianie.

\*

AKCJA REPOLONIZACYJNA

Obok troski o przygotowanie i właściwą postawę pracowników oświatowych uwaga Biura Z. O. była skierowana na przebieg i rozwój procesu repolonizacji. Zagadnienie to rozległe i trudne wymaga planowej i konsekwentnej pracy na płaszczyźnie bardzo szerokiej, bo dotyczy wielkich grup ludności autochtonicznej, której czynny udział w pozytywnej pracy będzie mieć znaczenie decydujące dla dalszego układu stosunków na odzyskanych terenach. Dlatego nie powinno się wartościowego elementu tubylczego odpychać i marnować, lecz trzeba go wydobywać i przyciągać, otoczyć opieką i przysposobić tak, żeby się czuł w nowych warunkach nie tylko dobrze, ale lepiej niż w dotychczasowych.

W roku ubiegłym Biuro Z. O. w swoim zakresie działania zwróciło uwagę przede wszystkim na uwzględnienie potrzeb młodzieży autochtonicznej w szkole. Młodzież ta pozbawiona od lat szkoły polskiej włącznie najczęściej tylko gwarą miejscową, a nie rzadko zapomniana już zupełnie mówić po polsku i nawet słabo rozumie swój język ojczysty. Nie może sobie, oczywiście, dać rady z nauką w języku polskim wykładowym ani też przerobić materiału wskazanego programem z zakresu języka polskiego. Trzeba więc było dać jej możliwość uzupełnienia braków i ułatwić naukę, ażeby jej nie odstręczać od uczęszczania do szkoły polskiej i dalszego kształcenia się, co w początkach nawet miało miejsce.

Dlatego też w zakresie języka polskiego opracowano specjalną instrukcję, dotyczącą programu i metod nauczania języka polskiego w r. szk. 1945/46 i 1946/47 we wszystkich klasach szkół powszechnych oraz w gimnazjach i liceach ogólnokształcących i zawodowych na terenie Ziem Odzyskanych w okręgach szkolnych: białostockim, mazurskim, gdańskim, pomorskim, poznańskim i śląskim. W instrukcji tej, mając na uwadze stan i stopień przygotowania młodzieży autochtonicznej w zakresie języka polskiego, podano polecenia i wskazówki metodyczno-programowe co do stosowania różnych dróg, ażeby młodzieży tej ułatwić czynne opanowanie w jak najkrótszym czasie w słowie i piśmie polskiego dialektu kulturalnego oraz zbliżenie jej do polskiej kultury i doprowadzić do duchowego zespolenia z Macierzą.

Prócz tej instrukcji opracowano przejściowy program nauczania języka polskiego w r. szk. 1946/47 w tych klasach szkół średnich na Ziemiach Odzyskanych, do których uczęszcza w znacznie większej liczbie młodzież autochtoniczna. Program ten zawiera szereg odchyleń od programu ogólnie obowiązującego. Ponieważ chodzi o młodzież, która nie posiada należytej znajomości języka polskiego i skutkiem tego natrafia na znaczne trudności w nauce szkolnej, powiększono liczbę godzin nauki j. polskiego w klasie wstępnej i pierwszej do 6 godzin, w kl. II i III do 7 godzin tygodniowo. Równocześnie przeprowadzono pewną redukcję materiału naukowego oraz włączono szereg zagadnień o charakterze propedeutycznym do przerobienia przed przystąpieniem do właściwego kursu. Uwzględniono też możliwość nawiązania do regionalnych właściwości językowych i literatury regionalnej, aby tą drogą ułatwić osiągnięcie przewidzianych celów nauczania.



polskiej wspólnoty narodowej ze strony czynnika społecznego. Zamiast zawstydzająco nieliczne są wyjątki i to zarówno ze strony jednostek, jak i organizacji o charakterze społecznym, jak gdyby w czasie okupacyjnej nocy „Na tropach Smętka“ nie było oprócz Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy“ najbardziej zakazaną i ściganą a równocześnie ulubioną książką. Takie przedsięwzięcia jak uniwersytety ludowe w Rudziskach i Morągu powstają wysiłkiem samych „autochtonów“ przy pomocy środków dostarczonych przez władze. Starzy „królówie polscy“ z okolic Gietrzwałdu proszą, by „Polska miała dla nas więcej serca“, a Mazurzy spod Pasyimia urządzają polowania po drogach na żywe... polskie słowo. Miejscowy człowiek odczuwa boleśnie brak kontaktu z nieznaną Polską z za kordonu obojętności, z Polską, którą my wszyscy tworzymy. Jest to wyjątkowo bezinteresowne pragnienie, tak jednak ważne dla związania Prus z Macierzą najserdecznym węzłem narodowego braterstwa, że wypełnienie go powinno stać się punktem honoru wszystkich myślących i czujących ludzi.

Do dziś, gdyby nie wysiłki rodzimej inteligencji, nielicznych osadników i jeszcze nielicznych przyjaciół pruskiego regionu z głębi kraju, obojętność dla

straszliwie przeredzanej ludności tutejszej (w lecie około 25.000 Warmiaków, ok. 35.000 Mazurów, ok. 60.000 deportowanych — wobec 100.000 Warmiaków i 400.000 Mazurów przed wojną) byłaby jedynym przyczynkiem odzyskanych współbraci na progę wspólnej ojczyzny. Poza garścią ludzi dobrej woli mało kto pomyślał dotąd, że niedawnym „wymierającym“ i trwającym należy się inna prezentacja Polski, niż ta, jakiej dokonali burzyciele społecznego ładu. O tym, że Polska jest inna, mogli się dowiedzieć z ust Polaków tylko nieliczni tuziemcy, którym oblicze prawdziwej rzeczywistości ukazał pojedynczy niestety harcerze — uczynni łatacze dziur w płotach, budowniczo wie niedorośli polnych mostków i inicjatorzy niezapomnianych „ognisk“. O nich to stare babki na Mazurach opowiadają istne legendy, zakrapiane nie łezką, ale najszerszymi łzami wzruszenia. Tam gdzie nie dotarli, najautentyczniej słyż wdzięczności wzbudzają zwyczaj, życzliwe słowa otuchy lub wspomnienie braterstwa, odrobina okazanego serca.

Nie wszędzie jednak palą wstydem tylko „autochtoniczne“ łyż. Są wypadki, kiedy pięką własną. Rzadko się to dzieje, bo ludność Warmii i Mazur niezbyt chętnie korzysta z łatwej sposobności zawstydzenia przybysza. Mazur spod

Żądźborka tylko niechęć prosił mnie o wyjaśnienie, dlaczego to Niemcy, gdy w pierwszej wojnie światowej ucierpiało od działań wojennych 13 miast i 572 wsie, ponadawali każdej ze zniszczonych miejscowości „chrzestne“ miasta lub prowincje, które gorliwie prowadziły potem dzieło odbudowy — a w Polsce nikt nie pomyślał dotąd, by odbudować istniejącego do niedawna przed drugą wojną „Mazura“. A Warmiak spod Olsztyna również bez złej myśli pytał czy to możliwe, żeby kraj nie odpowiedział na wezwanie o książki szkolne dla dzieci warmińskich i mazurskich, jak to utrzymują nauczyciele.

Zniszczonej Polski nie stać na „chrzestne“ miasta i prestiżowe opisy hojności, w jakich specjalizowali się Niemcy, ale nas stać niewątpliwie na niejednego odruch serca w stosunku do nie tak dawnych wydziedziczonych i ciężko doświadczonych współbraci. Patronat organizacji społecznych i młodzieżowych, instytucji i szkół, udział w nim zespołów pojedynczych osób, wrażliwych na potrzeby regionu warmińsko-mazurskiego na polu repolonizacji, nie należy bynajmniej do przedsięwzięć niewykonalnych. Prawie każdy Polak ma możność wysłania minimalnym kosztem odrobiny serca na ziemię odnalezionych przeznaczeń. Choćby w kar-

tach, rzadkiej tu i pożądanej, książki polskiej.

Ostatnio, dzięki zrozumieniu władz olsztyńskich, zjawiają się coraz częściej w głębi kraju wycieczki, przeważnie młodocianych, Warmiaków i Mazurów. Dążą one do centrów narodowej kultury, a kończą się nierzadko (jak ostatnia krakowska Morązan), ostatecznym ugruntowaniem rozbudzonej świadomości, że Polska to wielka i realna rzecz. Ile zasługi w tym okazanego wycieczkowiczom serca, wiedzą najlepiej organizatorzy.

Pozostawałaby jeszcze sprawa nawiązania bezpośredniego kontaktu i spopularyzowania tak małego znanego „kraju tysiąca jezior“. Byłoby ze wszech miar pożyteczne, gdyby w czasie nadchodzącego lata polskie słowo, wymawiane nie tylko z mazurską czy warmińską oraz równie „tuziemczo“ z wileńską, ale także po warszawsku, krakowsku, poznańsku, lwowsku czy śląsku, znalazło godnych głosicieli na odzyskanej północy. Korzyść z tego będzie nie mała. Pięć prawd Polaków, tak żarliwie nauczanych w uniwersytecie ludowym w Morągu, mogłoby.. wówczas łatwo zejść z transparentów w szare, codzienne pruskie życie.

Stefan Sulima.

Jan Bolesław Ozóg

## Czerwone dalie

(Ballada)

Już spokój w mieście, już spokój, w odwrocie piechota, tabory.

Wyjdźcie, folksdojce, z podziemi, witajcie swastyczne znaki.

Przez gruzy po trupach koni dźwigajcie kwiaty zwycięzcom.

Dalie niech będą i małwy czerwone jak piersi od salwy.

Kobiety i córki dorodne niech staną w sukienkach do kolan

Gdy wjadą czolgi z rogatki, na blachy im rzućcie bukiety.

W bielutkiej sukience lilija, córka łysego Wilhelma.

Joanna stanie na przedzie, ma buzię jak wcześna czereśnia.

Suną tankietki po szosie... Już coraz bliżej... — Joasiu,

czemużeś blada, tak blada, jak w polskim lesie poniczek?...

Do góry ręce — Heil Hitler! Joanno, to Niemcy, to bracia.

Mundury zielone, zielone, zielone czeka i bluzy.

Nie cieszysz się z nami, nie krzyczysz?

Czolgi z żelazobetonu!

Joasiu, w tę rękę otwartą rzuć dalie z polskiego sadu.

O, patrz, w tym czolgu we szlifach hauptmann a może generał.

Zabłyśły oczy przymglone — naprzeciw do czolga podskoczy.

Wyciąga rękę pułkownik, Joasiu, nie bój się, nie bój...

Krok jeszcze... wyżej — rzuć teraz! Cóż to?... Co robisz?... Ktoś strzelił?...

Patrzcie, w klekocie motorów pułkownik za serce się chwyta.

Co? Padasz? Krew na mundurze? Die Stadt bringt blutrote Blumen!

Joanna podała ci dalie, daliami rynek cię wita!...

Nie drgnęło, Joasiu, oko, nie drgnęło ramię i ręka...

Z bukietu czerwonych dalij wypadł rewolwer nabity.

Tadeusz Kwiatkowski

# Pozdrowienie z Krakowa

Dzięki dobrej i szybkiej komunikacji autobusowej Katowice bardzo zbliżyły się do Krakowa. Tak jakby siedemdziesiąt kilometrów odległości pomiędzy tymi miastami nagle skurczyło się, zmniejszyło do rozmiarów dwugodzinnego spaceru, zbliżyło się na odległość wyciągniętej ręki. Krakowianie jeżdżą sobie, jak gdyby nigdy nic na przedstawienia teatralne do Katowic, Katowiczanie oglądają wystawy



malarskie w Krakowie i zjeżdżają tłumnie na mecze piłkarskie, dopingując swoich ulubieńców. Na szosie nieustanny ruch, jedni na zachód, inni na wschód i tak od świtu do nocy. Kolorowe autobusy, zielone ciężarówki, kryte celtami, osobówki różnej kondycji śpieszą się niesłuchanie, omijają zreczną większe dziury w asfalcie, czasem nawet wpadają na siebie, ale to raczej rzadko i delikatnie.

Miasta te zaczęły wychodzić naprzeciw siebie już dawno. Ale z każdym dniem zbliżenie to staje się bliższe i konkretniejsze. Jeszcze dawniej jeżdżono do stolicy, żeby kupić jakiś interes, zakatwić sprawę, kupić tańszy kupon materiału, bowiem wiadomo Katowice blisko Bielska, a w Bielsku fabryki, fabryczki, manufaktura, wełna, przedziwo i krosna. Jeszcze dawniej mówilo się: tam w Katowicach są kopalnie i górnicy, których straszny duch kopalniany zwany Skarbnikiem. A teraz? Jakżeś się to zmieniło. Znam faceta, który codziennie jeździ do pracy biurowej do Katowic i wieczorem wraca do stołu rodzinnego. Codziennie bierze ze sobą książkę i czyta. Codziennie jedna książka. Wiecie ile on książek przeczyta rocznie? A teraz Swinarski napisze, że w teatrze katowickim podoba mu się jakaś sztuka. Ktoś mu nie wierzy. Kupuje bilet na autobus i już siedzi w teatrze im. St. Wyspiańskiego. I zgadza się, lub nie ze Swinarskim, który jak powszechnie wiadomo jest przekornym entuzjastą. Ileż z tego korzyści. Ktoś może być zadowolony z przedstawienia i P. K. S. zarobi i Dąbrowski w Katowicach i jeszcze jakiś przygodny bar i A. M. Swinarski jest szczęśliwy, bo mówią o nim i sława rośnie.

Z dnia na dzień zawiązuje się ściślejsza współpraca kulturalna obu miast. Rzecz prawie nowa, bowiem przed wojną jakoś nie było zainteresowania sprawami sztuki i jej wymianą. Inicjatywę

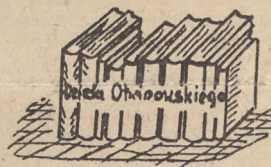
bliskiego kontaktu należy powitać z największą radością. Przynieśie ona na pewno świetne rezultaty. Kraków, największy obecnie ośrodek kulturalny Polski pomoże nielicznym, dzielnym artystom zgrupowanym w związkach artystycznych w Katowicach w rozszerzeniu podjętej przez nie idei upowszechnienia kultury. Kraków służy czarnemu miastu całym swoim dobytkiem kulturalnym. Pierwsze węzły już zostały zadzierżgnięte, pierwsze umowy spełnione. Krakowski oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich zapowiedział szereg odczytów w Studium Literackim w Katowicach, które wygłosią pisarze krakowscy. Był już Przyboś, byli Andrzejewski i Natanson, przyjadą Otwinowski, Kisielewski, Kurek i Zagórski. W teatrze pojawiają się sztuki Szaniawskiego, Grzybowskiej, Morstina i Swinarskiego. Poeci śląscy dadzą kilka wieczorów autorskich w Krakowie, wygłoszą prelekcje w Studium Literackim. To samo powinny podjąć inne Związki i Muzyków i Plastyków. Kraków i Katowice posiadają dzisiaj dwie najlepsze orkiestry symfoniczne. Changer de place.



Niech krakowianie usłyszą koncert katowicki, niech Filharmonia krakowska wybierze się do Katowic. Autobusy się znajdują. Słuchaczy przybędzie aż za dużo. Żeby ta wymiana kulturalna działała we wszystkich kierunkach i na wszystkich płaszczyznach. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Niech szosa do Katowic ani na chwilę nie cichnie, niech się mijają samochody pełne literatów z autobusami załadowanymi sprzętem muzycznym, niech wystawy malarskie krążą, niech teatromani zapełniają widownie, niech Krakowianie piszą o Katowiczaniech i na odwrot. Niech „Odra“ ma w Krakowie dwadzieścia tysięcy prenumeratorów. Niech, niech i żeby to niech przybrało najrealniejsze kształty.

Powiadają, że w Krakowie są ludzie zacofani, skryci, profesorem uniwersytetu, centusie, drobnomieszczanie, klerykali, nie użytki, emeryci, hepatici, stare panny z pieskami, ponurzy, oślizgli, nieuczynni, szwiniści, reakcyjniści, studenci z głodnej kuchni, filofranzjozefiści, purytanie, gnieciuchy kościelne, cy-

koriarze, burzymurki, że czuć naftaliną i wiedeńską esencją, że biedny ten co wśród zawiepi spocznie w tym mieście strapiiony. Pisał o tym z nudów Stefan Otwinowski, z nudów, bowiem wszyscy wiedzą jak lubi Kraków a szczególnie nie jeden wygnieciony stołek u Noworolskiego, gdzie zachodzą go najlepsze pomysły i najpiękniejsze kobiety



Krakowa. Otwinowski pisze a „Kuźnica“ drukuje, — no, bo co ma robić. Nie może stać stale przepłatać Żółkiewskim. A sam redaktor naczelny nie zdoła w jednym numerze wydrukować więcej artykułów niż trzy. Nie wypada. Śmiać się z Krakowa Stasio Dygat. No, ale Stasio był w Paryżu, i podobnie w Sztokholmie. Nie można mu się dziwić, że nie wytrzymał. Młody i poza tym jest przyjacielem Otwinowskiego. Noblesse oblige. Wygadywali jeszcze inni, ale nie byli w Krakowie dłużej niż dwa dni. Nie wiercie im, przyjaciele śląscy. Nie jest tak źle. Wprawdzie znam kilku bigotów i kilka pań w starszym wieku pisujących powieści na wszystkie tematy ze szczególnym upodobaniem problemów tak zwanych „lilli na bagnie“, ale przegladnijcie historię literatury ostatniego dwudziestopięciolecia — ileż ich było w Warszawie. Zawierzcie mi i przyjedźcie czymprędzej. Za każdego śledziennika stawiam kolejkę, za faceta z bokobrodami jestem gotów postawić kolację, za każdego skrytego i ponurego purytanina pachnącego naftaliną i austrowęgrami daję komplet dzieł Stefana Otwinowskiego. (Rzecz nieznaną, rzadką choć niedużą). Jedynie profesorów uniwersytetu, muszę przyznać, jest wielu. Ale to chyba dobrze.

Jeśli mi wierzyć nie chcecie zaprowadźcie Was do Jerzego Andrzejewskiego, który Wam powie mnóstwo miłych historii ze swego życia, związanych z „podwawelskim grodem“. Jerzy Zawieyski jest wielbicielem św. Augustyna i Krakowa. To trzech Jerzych, Warszawiaków, których wojna rzuciła na rynek krakowski. A jeszcze Julian Wołoszynowski nie będzie się uskarżał na drobnomieszczanństwo krakowskie i Marian Podwinowski, repatriant ze Wschodu dorzuci kilka ciepłych słów i Konstanty Ildefons Gałczyński jakoś sobie dobrze radzi w tym zacofanym

mieście. Nawet sam Otwinowski, jeśli nikt na niego nie patrzy, powie Wam na ucho: „W Krakowie dopiero poznano się na mnie. Ale trzeba pisać. Być przeciw. Dialektyka proszę panów“.

Kraków ma swoich znanych w Polsce satyryków. Lubią oni odwiedzić Katowice i zdaje się, że były to pierwsze jaskółki przy jaźni katowicko-krakowskiej. Z satyrykami jednak trudno na dłuższą metę. Są oni zaci, ale tylko krótkodystansowcy. Nie można na nich niczego budować. Zawsze przygadają komuś, innych znowu zanadto lubią, są histeryczni i nie lubią żartów pod swoim adresem. Jedynie Magdalena Samozwaniec jest nieustrudzona. Kilka razy w tygodniu odwiedza „Kocyntra“, i przebywa na długich konferencjach w redakcji, szczególnie z redaktorem Józefem Nactem. Powstał nawet na ten temat taki dwuwiersz:

Samozwaniec ma kontakty W Katowicach spędza Nacty.

Więc myślę, że nie stanie na przeszkodzie, aby nasze środowiska kulturalne zbliżyły się tak szybko, jak zbliżyła się odległość tych miast po wojnie. W tempie autobusowym.

In książce J. Putramenta „Przezywistość“



... paru robotników wierci się koło stołu. Są bezradni, nie mają lasek. Chwytają krzesła i rzucają je ponad stołem... (str. 280)

(9)

## Ankieta „Odry“

### Pisarze polscy na Ziemiach Odzyskanych

Włodzimierz Żelechowski



Osiedlenie się moje na Zachodzie, ściślej mówiąc w Katowicach, da tuje się od roku 1923. Wówczas był to „zachód“, tymczasowy wprawdzie zachód, skrawek Śląska tylko — ale

w każdym razie — zachód. Dziś Katowice, to raczej środek Polski, zachód zaś prawdziwy — to Opolskie i Dolny Śląsk. A dalej na zachód jeszcze, jest przecie kęś ziemi również słowiańskiej, Łużyce z Budziszynem, granice słowiańskości, Łużyce, które przedziej czy później, w tej czy innej formie, tworzyć muszą bastion polsko-łużycki lub czesko-łużycki, zapórę antygermańską.

Nasze przedwojenne okno na świat, Gdynia — i nasze przedwojenne drzwi na zachód, Górny Śląsk — uległy takiej wspaniałej, rozszerzającej przebudowie, że aby powiązać Ziemię Odzyskaną z resztą Polski, powiązać pod względem kulturalnym, trzeba by wysłać kilkanaście „zespołów artystycznych“ — literatów, muzyków, malarzy, rzeźbiarzy — i osiedlić ich grupami w różnych miastach na zachodzie, dając im oczywiście mieszkanie i możność bytu — i niechaj piszą, komponują, grają, malują i rzeźbią — niech wchłaniają w siebie kraj i ludzi i nawzajem niechaj dają otoczeniu swoją twórczość.

Ale niestety w praktyce wygląda to inaczej. Owszem — część

naszych naukowców pracuje we Wrocławiu, parę zespołów dramatycznych pracuje również na Zachodzie, lecz gdzieś literaci, gdzieś malarze, gdzieś muzycy? Tkwią jak rodziny w cieście po jednym w trzech lub czterech większych miastach, niechętnie widziani u niektórych przedstawicieli władz, wyrzucani z mieszkań, a czasem nawet z przyznanego już domu. Żadne szumne odezwy nic nie pomogą, jeśli się ludziom pióra nie da możliwości życia i pewnych ulg i przywilejów. — Zwolnienia od podatków (literaci i artyści są prawie tak opodatkowani jak rzeźnicy, przemysłowcy lub adwokaci), porządne mieszkania, wystarczające przydziały, wolne przejazdy kolejami, autobusami, tramwajami a nawet samolotami — oto konieczna zachęta i uznanie dla tych, którzy są „roznosicielami“ kultury, pracując dla wspólnego dobra, powszechnego interesu, na wyższym, dostojniejszym stopniu. Samo bowiem siedzenie w miejscu, bez możliwości ujrzenia i usłyszenia — i objęcia ramionami wszystkich Śląsków (Górny, Dolny, Opolski) nie da w efekcie wiele, nie będzie ni mostem ni tęczą w literackim piórze.

O ważności i wartości Ziemi Odzyskanych nie trzeba już nikogo przekonywać. Przywarowanie do ich granic rozumie się samo przez się, ale aby móc pisać o nich z pełną odpowiedzialnością świadomością, to trzeba poczuć się pełnowartościowym gospodarzem tych terenów. Pisarze osiedlający się na Śląsku aklimatyzują się szybko. Mam przykład na sobie samym. Początkowo pejzaż przemysłowego Śląska wydał mi się ponury, przytłaczający, zgoła niepociągający literacko. Po miesiącach oswoiłem się jednak z tym dziwnym widokiem a po roku wiedziałem już: To materiał, ogromny materiał nie tylko dla prozaika ale i dla poety! I nie tylko huty i kopalnie — i nie tylko ciekawy pejzaż okolic poza-przemysłowych ale ludzie i ich praca i walka ich świadoma czy podświadoma z germanizmem. Na tych właśnie tematach komponowałem słowem i prozą (prócz innych) swe śląskie prace, jak kilka, wydanych oddzielnie opowiadań o wybitnych Ślązakach sprzed wieku (proza) lub w „Cieniu brzoź i kominów“ (poezje).

## Nowa mapa Śląska

Nakładem Książnicy „Atlas“, Wrocław—Warszawa wyszła ostatnio opracowana przez znanych polskich geografów prof. Eugeniusza Romera i dra Antoniego Wrzoska mapa fizyczna Śląska w podziale 1:1.000.000. Mapa jest niezwykle pożyteczna i piękna. Względny estetyczny, jak zastosowanie szerokiej skali wielu barw, miłych dla oka, łączą się z dokładnością rysunku, dając łatwość zorientowania się w rzeźbie powierzchni i wysokościach tylko przy pomocy wspomnianej skali barw. Wysokości terenu są poza tym oznaczone liczbami. Wyrazistość sieci rzecznej, sieci dróg kolejowych i dróg innych nie zamienia obrazu, przeciwnie, wywołuje pożądaną już pierwsze wrażenie, że Śląsk jest krainą pod tym względem uprzywilejowaną. Nazwy wyróżniających się jednostek fizjograficznych i ich części zaznają się z dotychczas nieznaną polską nomenklaturą pasm górskich, szczytów, przełęczy między pasmami, obszarów wyżynnych, lesistych i bagiennych.

Mapa uwzględnia również podział administracyjny Śląska na województwa i powiaty oraz podaje wielkość miast w zależności od liczby ich mieszkańców. Z innych szczegółów oznaczone są kąpieliska, oraz liczne na Śląsku na rzekach zapory dolinne. Mapa posiada jeszcze jedną wielką zaletę. Nazwy miejscowości wpisane na mapie uwzględniają już ostatnie ustalenia Głównej Komisji Ministerialnej, ogłoszone w Monitorze Polskim w grudniu 1946 r., stąd zawierają pewne odchylenia od używanych dotychczas w terenie nazw mniejszych miejscowości

(np. Sulików zamiast Szymbark, Mieroszów zamiast Frydland itd.). Wyjątek stanowi Nysa, wpisana jako Nisa, ponieważ ostateczne brzmienie tej nazwy nie zostało jeszcze urzędowo rozstrzygnięte. Znając jednak poglądy obu autorów odnośnie tej nazwy, domyślamy się, że przeważały względy uszanowania dla wieku.

Maria Suboczowa.

### „NAUKA“

Pomorska Spółdzielnia Książkarska i Papiernicza z odpowiedzialnością udziałami w BYDGOSZCZY, A.e.e i Ma, a 5, tel. 30-69

poleca:

własnym nakładem ostatnie nowości:

Adam Grzymała-Siedlecki:

LUDZIE SĄ LUDZMI

cena 170,— zł

Fr. Grott — Zofia Strzelecka:

MIASTO NAD BRDĄ

cena 100,— zł

Zuzanna Rabska:

BAŚNIE KASZUBSKIE

wyd. IV. cena 160,— zł

Władysław Dunarowski:

LUDZIE SPOD MIEDZY

wyd. II. cena 340,— zł

Ludwik Bandura:

SZKOŁA USPOŁECZNIONA

cena 160,— zł

W DRUKU:

Czesław Strzelecki:

DZIEJE TEATRU W POLSCE

## „Święty demokrata“ — doktor Marcin

Społeczeństwo polskie, dość jednostronnie nastawione na kult wieszczów narodowych, bohaterów z pola bitew i powstańców wodzów, niedostatecznie doceniało tytanów pracy i przodowników na polu społeczno-gospodarczym. Zjawisko to uwarunkowane jest całą naszą historią, która szumi skrzydłami husarii i szczeka orężem, ale w której nie słychać uderzeń młota i huku hal fabrycznych, która opromienia blaskiem męstwo rycerza i słowo wieszacza, spychając z cień zapomnienia niestrudzonych, fanatycznych nie-raz bojowników postępu ekonomicznego i społecznego. Można by z łatwością wykazać, że ten jednokierunkowy, spaczony rozwój narodu siedzi w parze — na odcinku politycznym — zarciem na wschód, z wyrzekaniem się bogactw śląskich i okna bałtyckiego za cenę tzw. kresów wschodnich.

Dziś przedstawiamy zwrotnicę. Zwracamy się ku zachodowi, nawracamy ku ziemiom, z których kiedyś wyrósł nasz naród i nasze Państwo, które są naturalnym i jedynym fundamentem naszej wielkości tak politycznej, jak cywilizacyjnej i gospodarczej. Zwracamy się ku ziemiom, które nie dały nam ani wielkiej trójcy romantycznej ani romantycznych wodzów, które natomiast były, są i będą bastionem ludzi silnej woli, twardej pracy, niewyczerpanej energii, bastionem tęgiej organizatorów, świetnych ekonomistów i myślicieli.

Wracając na zachód nie tylko naprawiamy polityczne błędy przeszłości, lecz uzdrawiamy również nasz naród od wewnątrz, od strony jego charakteru. Front na zachód oznacza bowiem wzmocnienie w życiu naszego Państwa i narodu tych czynników, których nam przez długie wieki było tragicznie brak, których niedostatek spowodował fatalne następstwa, ciężące nad nami do dnia dzisiejszego. Czynnikiem tymi są: pracowitość, sumienność, fachowość, planowość, konsekwencja, wytrwałość, poczucie rzeczywistości, umiejętność gospodarowania. Rodacy nasi z Ziemi Zachodnich, obdarzeni tymi przymiotami w wybitnym stopniu, nie mieli niestety w ciągu ostatnich wieków dostatecznego wpływu na bieg spraw państwowych. Nie czas analizować bliżej przyczyny tego faktu, wystarczy stwierdzić, że tak było i że obecnie stoimy w obliczu wielkiej naprawy dziejowych błędów i zaniedbań.

Dlatego z radością trzeba powitać nową książkę, wydaną przez Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu (tempo pracy tej placówki podziwu godne), poświęconą postaci znakomitego lekarza i zasłużonego działacza społecznego w Wielkopolsce w pierwszej połowie XIX w., Jana Karola Marcinkowskiego. „Doktor Marcin“ jest właśnie klasycznym przedstawicielem tego typu Polaka, którego nam najbardziej brak, o którego wielkim głosem woła w „Sprawach Polaków“ Edmund Osmańczyk. Jest rzeczą zastanawiającą, jak postać tego Wielkopolanina, którego setną rocznicę śmierci właśnie obchodzimy — narzucił nam się dzisiaj, po stu latach, jako żywy wzór do naśladowania. Wydaje mi się, że dzieje się to z dwóch powodów. Po pierwsze: dziś, kiedy naród nasz znalazł się w takiej sytuacji, że musi wszystko niejako budować od podstaw, że, licząc się z obecnym układem sił politycznych, musi poprzez wiele wyrzeczeń przejść do jak najintensywniejszej pracy organicznej — dr Marcinkowski, ten prekursor pozytywizmu polskiego i pierwszy „organicznik“, przemawia do nas bardzo silnie. Po drugie: ujmuje nas tym bardziej, że umiał w swym życiu pogodzić pozytywizm z romantyzmem, że w życiu jego, wypełnionym po brzegi samarytańską pracą lekarską i niezwykle owocną działalnością społeczną, nie brakło miejsca dla iscie romantycznych wzlotów. Nie zapominajmy, że ten „organicznik“ należał w młodości do tajnych organizacji narodowych, że jako student przesiedział się w więzieniu pruskim, że przekradł się potem do Królestwa, by walczyć z całą furją w powstaniu listopadowym. Upadek powstania nie załamał go, roz-

począł jeno w zmienionych warunkach inaczej służyć narodowi: ofiarą pracą lekarską, zwłaszcza wśród ubogich, i organizowaniem placówek oświatowo-społecznych. Z tych ostatnich na pierwszym miejscu wyliczyć należy: Towarzystwo Pomocy Naukowej, które na przestrzeni ostatniego wieku oddało kolosalne usługi społeczeństwu wielkopolskiemu, oraz tzw. „Bazar“ poznański, potężną instytucję handlową.

Dr Jakóbczyk zadał sobie wiele trudu, by na podstawie gruntownych studiów odzwierciedlić możliwie najwierniej postać „Doktora Marcina“. Zasluga autora jest, iż zebrany materiał wykorzystał bardzo umiejętnie, chroniąc nas od jakiejś suchej, ciężkiej rozprawy naukowej, a przeciwnie — dając nam książkę żywą, barwnie, interesująco napisaną, książkę, którą czyta się jak powieść. Autor cytuje często wypowiedzi samego Marcinkowskiego (drukowane spacją), co książce dodaje wiele uroku: w wypowiedziach tych odzwierciedla się nadzwyczaj prawa i piękna dusza „Doktora Marcina“ i jego na-

wskroś nowoczesny, dzisiejszy sposób myślenia. Kiedy grono przyjaciół urządziło na jego cześć uroczyste przyjęcie, Marcinkowski celowo wyjechał z Poznania, nadsyłając tylko list z wyrazami wdzięczności.

Niektóre z wypowiedzi Marcinkowskiego uderzają wprost duchem najgłębiej pojętej demokracji, której zresztą lekarz poznański był w praktyce najlepszym wyrazicielem. Nie przesadził Krasiński, nazywając go „świętym demokratą“.

Niewątpliwym talentem narracyjnym autora i jego jasny, zwięzły, pełen dynamiki styl sprawiają, że czytelnik pochłonięty nurtem opowieści ani się spostrzeże, przez ile „suchych“ faktów, dat i wydarzeń przebrnął po drodze. I to jest bezsprzeczny sukces dra Jakóbczyka a zarazem Wydawnictwa Zachodniego, któremu życzymy więcej takich książek, zarówno co do treści jak i szaty zewnętrznej. Ta ostatnia jest prosto — jak na obecne stosunki — luksusowa. Okładka projektu A. Krakowskiego piękna.

Włodzimierz Wnuk.

## Nagroda Czytelników „Odry“

Edmund Osmańczyk

### „SPRAWY POLAKÓW“

Wydawnictwo AWIR Katowice

Ządać we wszystkich księgarniach.

## Nowe wydawnictwa

Dobra lektura rozrywkowa

Ruchliwe wydawnictwo katowickie AWIR kontynuuje swój plan wydawniczy, zmierzający do dostarczenia przeciętnemu konsumentowi dobrej, rozrywkowej lektury. Po rozchwytanym Meisnerze rzucono na wirny księgarskie lekka, przyjemną książkę Czecha Hoffmeistera pt. „Turysta mimo woli“. Są to przegody czeskiego satyryka, zmykającego spod okupacji niemieckiej w poszukiwaniu wolności i sprawiedliwości. Bohater liczy na sprzymierzeńców, ucieka do Francji, potem do Algieru i Portugalii. Wszędzie spotykają go podejrzliwe władze i dla pewności zamykają po więzieniach i obozach. Ta przepadna ostrożność ze strony policji, choć studzi jego sympatie do Zachodu, nie od-

biera mu humoru i pogłębia mu jego wiedzę o niegościnnych państwach. Ponieważ autor jest utalentowanym karykaturzystą, karty jego opowieści roją się od zabawnych rysunków, często górujących nad prościutkim tekstem.

Dowcipna książka, w związku z normalizacją komunikacji kolejowej wskrzesza tradycję dobrej lektury wagonowej, w której przed wojną tak celował „Rój“.

Szkoda, że na pierwszy ogień nie dano nam utworu bardziej typowego dla przeżyć Protektoratu, gdzie warunki kształtowały się inaczej niż u nas, tłumacząc czeską taktykę mimikry.

Potoczystego, poprawnego spolszczenia dokonał Zdzisław Hierowski. WZ.

### Pamiętnik partyzancki

„Niewydeptane ścieżki“ — Zofii Drożdż-Satanowskiej są strzępami wspomnień, nie nasuwających wątpliwości co do autentyczności, z blisko dwuletniego jej pobytu w oddziale leśnym. Bieże ona udział w szeregu akcji z grupą dziewcząt służby sanitarniej, uczestniczy w potyczkach, przebijaniu się z okrażeń, przeżywa tragiczne chwile w czasie epidemii tyfusu, gdy zmuszeni są porzucić i zlikwidować rannych towarzyszy, wobec nacisku przeważających sił oblawy. Autorka nie potrafi nam pokazać działań, rozbudować ich epicko. Uwaga jej skupia się na wąskim odcinku swojej służby, na drobnych epizodach poprzedniej tułaczki. Na troskach o żarcie, szmaty i noclegi. Oczywiście zajmują ją również i przeżycia erotyczne przyjaciół, potraktowa-

ne zresztą bardzo dyskretnie. Mamy więc obraz wojny na tyłach frontu niemieckiego, wojny oglądanej od podszewki, pozbawionej wszystkich uroków dostępnego tylko mężczyznom, uroków walki zwycięskiej i samotnej. Książka ma kilka dobrych epizodów i zupełny brak kompozycji. Nie wiem komu zależało na wycięciu wszystkich nazw miejscowości, uniemożliwiających czytelnikowi lokalizację działań. Liryczne wspomnienia zaczynają się od środka, wiążą się nawrotami koło paru osób, ale poważne skróty nie umniejsząły by dokumentarnej wartości tej książki.

Pamiętniki partyzantów z wydawnictw o Zamojszczyźnie są dużo soczystsze i ciekawsze.

WZ.



## ŻYCIE MUZYCZNE:

24. I. Koncert symfoniczny orkiestry Filharmonii Państwowej. Dyrygent Zbigniew Dymek. Soliści: Irena Dubiska (skrzypce), prof. Wojciech Smyk (obój). Program: Concerto grosso g-moll Nr. 10 — J. F. Haendla, symfonia d-dur Nr. 35 — W. A. Mozarta, koncert skrzypcowy d-dur op. 61 — L. van Beethovena i Etiuda na orkiestrę — B. Szabelskiego.

26. I. Niedzielny koncert popołudniowy Filharmonii Państwowej. Dyrygent: Witold Krzemiński. Solistka Barbara Hesse (fortepian). W programie: Wariacje symfoniczne C. Franka na fortepian z towarzyszeniem orkiestry, Andante z wariacjami z symfonii Haydna i wariacje na temat Mozarta w opracowaniu M. Regera.

## ŻYCIE LITERACKIE:

13. I. Posiedzenie Komisji Literackiej Instytutu Śląskiego. Mgr. Z. Hierowski referował pracę pt. 25 lat literatury na Śląsku (1920 — 1945).

18. I. W ramach wykładów w Studium Literackim L. H. Morstin wygłosił prelekcję p. t.: „Z warsztatu pisarza“ (praca dramaturga i tłumacza).

20. I. 42 wieczór Klubu Literackiego. W ramach wieczoru prelekcję p. t.: „Z etnograficznego notatnika“ wygłosił mgr. J. Lięga. Odczytano również wersję mówioną krótkometrażówki: „Boże Narodzenie w Beskidach“ według projektu Gładysza.

25. I. Stefan Kisielewski wygłosił w Studium Literackim prelekcję p. t. „Literatura a polityka“.

27. I. Sąd Konkursowy nagrody literackiej „Odry“ w składzie: Dr Stanisław Helsztyński, prof. dr Kazimierz Wyka, prof. dr Tadeusz Mikulski, dr Roman Lutman, Helena Wielowiejska, Wilhelm Szewczyk i Wojciech Zukrowski, rozdzielił nagrodę literacką „Odry“ w sposób następujący:

150.000 zł — Edmund Osmańczyk za dotychczasową działalność ze specjalnym uwzględnieniem „Spraw Polaków“ i 100.000 zł — Władysław Jan Grabski za „Sagę o Jarlu Broniszu“.

## TEATR:

23. I. Duża Scena. Premiera sztuki w 3 aktach Jerzego Szaniaw-

skiego — „Dwa teatry“. Reżyseria Edmund Wierciński. Dekoracje: Andrzej Pronaszk. Muzyka: Witold Krzemiński. Wykonawcy: B. Dąbrowski, L. Castori, J. Jabłonowska, M. Gielniewski, T. Łomnicki, R. Hierowski, M. Jasiński, Z. Zyczkowska, A. Górecka, I. Śmiałowski, M. Kościakowska, K. Wichniarz, D. Kucka, M. Bielecki, J. Bielecki i T. Kondrat.

## SZTUKI PIĘKNE:

Zamknięta została wystawa prac rodziny Konarzewskich. Od niedzieli 19. I. wystawa przeniesiona została do Zabrza.

## INNE:

15. I. Fryderyk i Irena Joliot-Curie bawili w Katowicach.

17. I. Akademia z okazji 2 rocznicy oswożenia Warszawy.

25. I. Akademia z okazji 23 rocznicy śmierci Lenina.



Bronisław Dąbrowski grał rolę Dyrektora „Małego Zwierciadła“.



Tadeusz Kondrat — Dyrektor „Teatru snów“.



Marian Bielecki — Ojciec z jednoaktówki „Powódz“.

## Wśród czasopism

Miesięcznik Polskiego Związku Zachodniego, wychodzący w Katowicach „Strażnica Zachodnia“, dobrze przysłużył się na zamknięcie piętnastolecia swojego istnienia sprawie łużyckiej przez wydanie specjalnego zasztytu, który stanowi pamiątkę odbytego w początkach października w Poznaniu zjazdu, poświęconego zagadnieniom Łużyc. Zjazd ten zwolany został przez PZZ w wyniku silnie odczutej potrzeby nie tylko przedyskutowania problemu łużyckiego w okresie jego wielkiego zaktualizowania się, ale w równej mierze z konieczności przekazania gronu osób zainteresowanych tą sprawą, działaczom społecznym, dziennikarzom, publicystom, literatom pewnej sumy podstawowych wiadomości o użycach w formie usystematyzowanej i przejrzystej, w takim ujęciu, które pozwałaby na dalsze, praktyczne korzystanie z tych wiadomości w prowadzeniu akcji na rzecz Łużyc. Toteż uzupełnienie zjazdu i utrwalenie jego rezultatów w formie wspomnianej, liczącej ponad sto stron druku publikacji specjalnej ma poważne znaczenie praktyczne i zasługuje — jak się to mówi — na uznanie.

Łużycki zeszyt „Strażnicy Zachodniej“ ma, podobnie jak sam zjazd, którego jest odbiciem, dwie części. Pierwsza to naukowa, opracowana przez profesorów uniwersytetów polskich, druga to część polityczna, aktualna, zarysująca problem łużycki w takim kształcie, w jakim go obecnie winniśmy widzieć i rozumieć. Część pierwszą stanowią cztery referaty. Prof. Tadeusz Lehr-Splawiński pisze o początkach słowiańskiego zaludnienia Łużyc, ustalając, że obecni Łużycanie są potomkami ludności słowiańskiej, która tereny te zamieszkuje co najmniej od tysiąclecia. Część drugą stanowią referaty. Prof. Józef Widajewicz daje zarys historii Łużyc, syntetyczne dzieje ich niedługiej niepodległości i blisko tysiącletniej niewoli. Rzeczą charakterystyczną jest, że rok przyjęcia przez Polskę chrześcijaństwa, r. 963, jest zarazem rokiem utraty niepodległości dla Łużyc. Gdy my wchodziliśmy na widownię dziejów, Serbowie Łużycy schodzili w mrok niewoli. Prof. Witold Taszycki charakteryzuje języki łużyckie oraz ich stosunek do sąsiednich języków słowiańskich, stwierdzając silne

pierwotne związki łużyckiej grupy językowej z grupą języków lechickich, które to związki uległy rozluźnieniu dopiero na skutek pewnych zmian, jakie zaczęły zachodzić w językach łużyckich, z których to zmian najważniejszą dla tego problemu była utrata nosowości samogłosek nosowych. Jeszcze dziś języki grupy łużyckiej są przez swoje cechy znacznie bliższe grupie lechickiej niż czesko-słowackiej. Najobszerniejszy referat wygłosił prof. Tadeusz St. Grabowski, dając cenny zarys kultury materialnej i duchowej literatury i sztuki Serbów Łużyckich. W części drugiej znajdujemy referat Eugeniusza Pauszty o aspekcie moralnym sprawy łużyckiej oraz Edwarda Serwańskiego o problemie politycznego rozwiązania tej sprawy. Krótka

W następnym numerze ukaże się ciekawy artykuł Mariana Seydy, przeznaczony specjalnie dla „Odry“ p. t. „Sprawa Niemiec z perspektywy mego Londynu“.

Autor tego artykułu, Marian Seyda — to znany publicysta i polityk, były członek Komitetu Nar. Pol. w Paryżu w latach 1917—1919, były min. spraw zagranicznych, poseł na Sejm, senator, ostatnio zaś polityk emigracji polskiej w Londynie.

ale pełna treści rozprawka Serwańskiego ustala następujące zasady, które winne być brane pod uwagę i realizowane przy rozwiązywaniu problemu wolnych Łużyc: inicjatywa w tej sprawie może być tylko ze strony samych Łużyczan, nie powinny jej podejmować żadne państwa sąsiednie choćby najbardziej życzliwe, które muszą pozostawić Łużycanom swobodę wyboru form, jakie miałyby być dla wolnych Łużyc zastosowane, a swoją pomoc winny potraktować, jako

szeroko zakrojoną akcję pomocy politycznej, kulturalnej, propagandowej i naturalnie gospodarczej. Jako jedno z najważniejszych i najpilniejszych zadań ustala Serwański dla państw słowiańskich solidarne i energiczne wystąpienie przeciwko temu stanowi rzeczy, jaki obecnie na Łużycach obserwujemy, gdzie Łużycanie są przez Niemców gwałtownie prześladowani, gnębieni i germanizowani jak dawniej. Intencją wypowiedzi Serwańskiego jest, by zjazd łużycki w Poznaniu stał się momentem pewnego przełomu w stosunku Polaków do sprawy łużyckiej, by „ogień przyjaźni dla Łużyc zamienił się w prawdziwe ognisko praktycznej, realnej działalności“.

Oby tak było. Nie wydaje nam się jednak, by od czasu tego zjazdu rozwój sprawy łużyckiej w Polsce poszedł w kierunku, jaki mu w Poznaniu usiłowano słusznie wykreślić. Mielśmy w ostatnich miesiącach sporo własnych i bardzo bliskich kłopotów, przy tym sprawa łużycka ani rusz nie może się stać elementem polityki międzynarodowej, ciągle ją na tym terenie utracając. Z obawą i troską myśli się o tym, że w zamęcie tak olbrzymich problemów jakie się piętrzą na najbliższe miesiące przed kierownikami polityki światowej, ten mały i nieszcześliwy naród pójdzie ze swoją tragedią w zapomnienie. Tylko jednolite wystąpienie wszystkich państw słowiańskich mogłoby temu zapobiec. Czekamy na nie.

Z Frankfurtu nad Menem zawędrował do nas ostatnio „niezależny tygodnik demokratyczny“ „Kronika“, wydawany przez Polaków przebywających jeszcze na terenie Niemiec. Notujemy to pismo, bo przynosi ono pewne ciekawostki. Do nich należy obszerny artykuł Jerzego Szeptyckiego z Kassel pt. „Dzieje Jana Wałacha“, omawiające dzieje osobliwej kariery artystycznej tego górala z Istebnej (którego autor zalicza omyłkowo do Podhala), doskonałego malarza i grafika, oraz wysiłki jego protektora Jerzego Warchałowskiego. Autor artykułu nie zna naturalnie obecnych losów Wałacha, który znajduje się znów w ciężkim położeniu, o czym prasa po wojnie kilkakrotnie już pisała. Inną ciekawostką jest w tym piśmie artykuł Stanisława Vincenza, autora znanej przed wojną książki „Na wysokiej poloninie“, który okres wojny spędził na Węgrzech i, jak dopisek przy nazwisku wskazywałby, nadal tam jeszcze przebywa. Vincenz w sposób kulturalny i sympatyczny prowadzi w „Kronice“ „rozmowy z czytelnikiem o książkach i czytaniu“. „Kronika“ przynosi bogaty materiał informacyjny. Dowiadujemy się stamtąd, że np. Cat-Mackiewicz założył w Londynie nowe, własne pismo pt. „Lwów i Wilno“, które uczynił prywatną trybuną publicystyczną, czyniąc to pismo środkiem do przeprowadzania rozgrywek politycznych przez siebie samego inicjowanych. Redakcja „Kroniki“



Janina Jabłonowska — Laura.



Ludwika Castori — Liselotta.

ostro krytykuje postępowanie Mackiewicza i charakteryzuje jego pismo jako stojące na rażąco niskim poziomie. Dowiadujemy się też o istnieniu na emigracji Instytutu badania najnowszej historii polskiej im. Józefa Piłsudskiego. Nie zdziwi nas to, gdy stwierdzimy, że jego dyrektorem jest nie kto inny, jak p. Wacław Jędrzejewicz, który naturalnie jako pierwsze wydawnictwo Instytutu wydał wybór pism jego patrona. Ale ma ten Instytut i rzeczy ciekawe. Do takich należy stworzenie dokładnej bibliografii dzieł dotyczących Polski a będących w posiadaniu bibliotek amerykańskich. Bibliografia ta obejmuje niestety tylko 3540 pozycji i jest podobno kompletna. Cenną pozycją wydawniczą jest chyba dwutomowe dzieło pt. „Poland in the British Parliament 1939—45“. Nie mniej Wacław Jędrzejewicz jako dyrektor instytutu o charakterze naukowo-badawczym to zjawisko nieco dziwne. W każdym razie, jeśliby instytut ten wydał opracowanie dwudziestolecia niepodległości, nie wielu znajdzie dla tej książki czytelników. (ki)

## Wyrok — ale za co?

Przed kilku dniami na łamach prasy ukazał się wyrok sądu centralnego ZASP-u w sprawie Romana Niewiarowicza.

Otóż: „Sąd dał w pełni wiary zeznaniom ob. Niewiarowicza... dotyczącym jego działalności w organizacji niepodległościowej.“

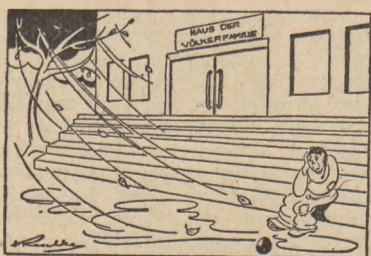
Sąd rozpatrzył i wziął pod uwagę dokumenty i zeznania, stwierdzające, że pracę w teatrze „Komedia“... ob. R. Niewiarowicz podjął na rozkaz swoich zwierzchników organizacyjnych. Dla decyzji sądu doniosłe znaczenie miał fakt, że ob. Roman Niewiarowicz za działalność niepodległościową był aresztowany.“

Sąd... „Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności sprawy postanowił — m. in. „pozbawić Romana Niewiarowicza prawa zajmowania w teatrze kierowniczych stanowisk artystycznych na lat 3...“

Z kolei ZASP powinien na następnym posiedzeniu sądu „koleżeńskim“ pozbawić praw obywatelskich na przeciąg trzech lat wszystkich więźniów politycznych niemieckich obozów koncentracyjnych.

Co było przyczyną tak surowego wymiaru kary? Komunikat ZASP-u nie wspomina o tym. Prawdopodobnie wzięto pod uwagę wysokie zarobki ob. Niewiarowicza. Dziwne, że Sąd Koleżeńcki nie zastanowił się nad tym, dokąd odpływały zarobione pieniądze... Że nie skontaktował się z ludźmi, którzy mogliby tę sprawę wyjaśnić. (N)

## Satyra Niemiec:



Wychudzona postać Germanii u drzwi Domu Narodów Zjednoczonych. „— Kiedyś także znów wejść do środka.“ („Berliner Zeitung“, rys. Reschke)

Wydaje Sp. Wydawn. „Czytelnik“. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry“. Redakcja: Katowice, 3-go Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Administracja: Katowice, 3-go Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwartalna 120 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaw. „Czytelnik“, 3-go Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wydawn. „Czytelnik“, Katowice, 3-go Maja 12. R 37011